№ 30.

TYGODNIK POLSKI.

Pismo poświęcone literaturze, obyczajom i strojom.

Lwów, 22 lipca 1848. **Rok dziewiąty.**

Wychodzi co sobota. Przedpłata z rycinami, rocznie 10 zr., półrocznie 5 zr., bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. m. k. Na prowincyi dopłaca się za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. m. k. We Lwowie przyjmuje się także prenumerata kwartalna, z rycinami 2 złr. 30 kr., bez rycin 1 złr. m. k. Z prowincyi można nadsyłać pocztą należytość prenumeraty pod adresem wydawcy, Tomasza Kulczyckiego, nr. 301 we Lwowie.

Narodowość urzędowa.

Patent cesarski z dnia 15 marca, nadający nam *prawo* do konstytucyi, nie dał nam jeszcze konstytucyi, nie dał nam spokojnego używania pierwszych swobód obywatelskich, które co krok tyle przeszkód znachodzą, nie dał nam wolności osobistej i bezpieczeństwa publicznego, ktore nigdy tak ohydnie jak w dzisiejszej porze bagnetów i bombardamentów gwałconemi nie były, nie dał nam pierwszych warunków bytu politycznego, a dał nam ostatnią jego wynikłość, nowy naród, nową narodowość.

Co zwykłym biegiem historyi bywa najwyższym pojawem społecznego życia milionów—pojęcie się ich jako naród; co w powszechnem rozwijaniu się dziejów okupuje się kosztem długowiekowych usiłowań, prac krwawych, dzieł bohaterskich, ofiar męczeńskich, a co znaczy: poruczone tymże milionom przez boga posłannictwo wobec całej ludzkości—narodowość, to tysiącom zpomiędzy nas, bez spółdziałania długich wieków dziejowych, wielkich czynów, wynurzonych nawet poprzednio życzeń, nadał jeden akt urzędowy, jeden reskrypt cesarski, reskrypt obcy, w obcym kraju i języku, obcemi powodami wywołany. Po wiekach „wostchninia i dumky“ tysiące te według swojej odezwy—widozwa soboru ruskoho—„pospiszajut do wilnosti, a toje wynny sut konstytucyi nadanej im z natchninia bożoho czerez najjaśnijszaho cisara i korola naszoho Ferdynanda.“

Jeżeliby tak było, tedy podobne, jednym patentem stworzenie *z natchnienia bożego* nowej narodowości i nowego narodu, byłoby zaiste najwyższą, ostateczną manifestacyą owego *z bożej łaski* absolutyzmu, który w istocie po dzień dzisiejszy mniemał się panem życia i śmierci ludów, a utworzeniem tego nowego narodu wydałby swój płód ostatni, poczemby mu na wieki zamrzeć już przyszło.

Jakoż zaprawdę zginął on już na wieki, ale pozostawiony przez niego twór nowej narodowości, nie jestto narodowość istotna, jak ją długiemi wiekami historyi wykształcone i oświecone ludy pojmują, lecz po prostu—ciemnota. Tysiące, które się tą patentową narodowością szczycić mniemają, dowodzą tylko swojej ciemnoty. Dowodzą iż jak wolność tylko w najniższem jej znaczeniu, w znaczeniu indywidualnego wyrwania się zpod pewnych ogólnych społeczeńskich *obowiązków* pojmują, tak też i w wyrazie—naród, narodowość, widzą tylko jego najzmysłowsze, materyalne znaczenie, t.j. znaczenie w jakiem np. prostaczek, widząc tłum ludzi na ulicy woła: co tam narodu! U nich naród jestto tylko kupa ludzi najpodobniejszych do siebie— narodowość, jestto ta upodobniająca ich jednostajność. Niejednostajne słowo, niejednostajny obrządek, niejednostajny strój, zrywają już węzeł ich narodowości.

Taki naród, taką narodowość może zaiste stworzyć akt urzędowy; ale nasiżto bracia, tyluwiekowi bliźniacy, spółuczestnicy naszych dziejów, nie sromają się tytułować się tym urzędowym narodem, tą urzędową narodowością?

Nie mówimy jako faryzeusze, nazywając ich spółuczestnikami naszej historyi. Nie byli oni zupełnymi spółuczestnikami swobód polskich, ale nad polską historyę nie mają oni innej historyi. Była to historya ich ucisku, alež ucisk brata przez brata, lubo rodzi waśń domową pomiędzy nimi, znosiž ich mimowolne

pokrewieństwo, znos iż wspólność ich losów domowych nawet wtedy, gdy oni jeszcze sporzą, a dopieroż w ówczas, gdy już nastąpiła kara tego ucisku, a nowe obudwoch braci pokolenia żyć mają nadal bez ucisku w jednej zagrodzie?

A wszakże i my, co to piszemy, chociaż się do tej urzędowej narodowości nie przyznajemy, należeliśmy niegdyś do uciśniętych; nie jesteśmy szlachtą polską, lecz ludem; a przecież historya polska jest naszą własną historyą, i to tem bardziej, iż historyczna świadomość naszego poprzedniego ucisku pobudza nas do tem usilniejszego wydobycia sobie swobody, do przemiany nie zaś do zagłady dawnej historyi—do uzyskania powszechnej niepodległości, nie zaś do oddania się w niewolniczą opiekę obcourzędowych aktów i konstytucyj.

I z tej też przyczyny, że—mając tenże sam cel wolności, co owe do swej urzędowej narodowości przyznający się tysiące—nie odrzucamy historyi i nauki, jaka z niej płynie, mniemamy się wolnemi od tej ciemnoty, z której według powyższej wzmianki, ta patentowa wyrodziła się narodowość.

Takie zaś jaśniejsze widzenie rzeczy dozwala nam postrzegać w krainie naszej nie dwa różne, jakto źli i dobrzy ludzie wmówić w nas chcą, narody, lecz zstara, jedyny naród polski, dzielący się według różnego stopnia oświaty na trzy różne stopnie pojmowania swej narodowości. Na pierwszym stopniu stoi cały nasz lud wiejski, nie mający żadnego pojęcia narodowości, nazywający się, bez względu na obrządek i pochodzenie, ani Polakiem ani Rusinem, ale—lubo coraz ciszej—„cisarskim.“ Drugi stopień obejmuje klasę pojmującą narodowość dopiero jako dyalektową i obrządkową jednostajność, uświęconą „cysarskim“ także patentem—wyznawców urzędowej narodowości. Ostatnim stopniem są wyznawcy narodowości w jej właściwem historycznem, cywilizacyjnem pojęciu.

Niewola z ciemnotą stopnie te utworzyła; wolność z oświatą w jedność je zleje.

OBRAZEK

z czasów Stanisława Augusta,

przez *A. Gorczyńskiego.* *)

W jednym dniu miesiąca maja, było to w czwartym roku czteroletniego sejmu, index na cyferblacie pałacowym w Suchej woli wskazywał na trzecią godzinę, pan starosta z pałacu swojego, z jadalnej sali schodził po kamiennych gradusach na wirydarz ogrodowy, w licznej panów respektowych i dworzan komitywie.

Posuwającemu się panu powolnym i posuwistym krokiem, roztwierała ulica grabowa swoje ramiona, właśnie jakby na przechadzkę pod namioty liściowe wabiła go, zapraszała.

Pan starosta, acz gorący słońca promień rozgrzewał puder jego fryzury, zwolna zbliżał się do cienia, ciągnąc mowę, której posuwające się za krokiem pana audytorium słuchało z atencyą, której potakiwało z uszanowaniem.

Któż nie wie, że onego czasu szlachcic zamożny była to persona okazała i ważna, kłaniano się jej, do nóg upadano, sciskano ją za kolana.

Budowa pospolitej rzeczy już pękać zaczynała. Wstrząśnięty gmach nachylał się ku upadkowi. Ale jeszcze podtrzymywana tradycyjną wiarą w to przysłowie „Polska nierządem stoi“, rozpierała się duma, jeszcze gościła tu stara ochota i biesiadnictwo, a zbytek, ten kwiat rozwinięty długim dniem pomyślności, błyszczał jeszcze, chociaż przy grzmocie burzy chmurna noc zaciągała już na ziemię naszą swoje długie panowanie.

Starosta, spacerując po ogrodzie w assystencyi dworzan, był jednym z tych owoczesnych panków, których duma wspierała się na zasługach przodków, podtrzymywała się dochodami ze starostwa i z wiosek, których był dziedzicem. Żyjący wśród walki, jaką odbywały wyobrażenia i nałogi krajowe z obcemi, przedstawić mógł w swojej osobie obraz tych, którzy chwytając jedną ręką nowość, drugą trzymali się jeszcze starego; których francuzczyzna była tylko blichtrem dla oka; pod nim siedziała jeszcze blisko przy sercu cała staro-krajowość. Tak starosta kontusz zamienił na frak cudzoziemski, żupan na westkę; wszelako brylantowa szpinka błyszczała jeszcze u koszuli; nie rozstawał się jeszcze z czapką z siwym barankiem; pudrował głowę; z tyłu wiązał harcap, a na twarzy nosił polskie wąsy. Do mowy jął przyjmować francuzkie frazesy, ale razem wierny nałogowi, i do starej swojej łaciny często nawracał. W kościele wstydził się swojej pobożności, wieczorem szeptał koronkę, całował skaplerzyk, pod westką ukryty; częstem czytaniem Woltera, Diderota i Helwecyusza przeszedł niby na wiarę mędrców francuzkich, był filozofem i śmiał się z przesądów; jednak gdy padło, uwierzył i w upiory, a kiedy zagrzmiało na niebie i błysło, pan filozof po staro-polsku przeżegnał się znakiem Chrystusa pana. Zresztą stosując się do mody czytywał i gazetę, którą co wtorek nadsyłała mu Warszawska poczta. Gazeta była tematem do całotygodniowych rozpraw, krytyk i ucinków, te zawodziły często politykującego na wiejskiej niwie statystę.

*) Napisany w roku 1847.

Dla dopełnienia charakterystyki pana starosty, a razem tej części mieszkańców naszej ziemi, której mógł być wyobrazicielem, dodamy, iż gdy później pożar ogarnął stolicę, nierozgrzało się przy tem serce jego, i chociaż gazeta jego zawiesiła nowe motto: „Post nubila foebus“, barometer jego twarzy nie podniósł się na pogodę. Burza krajowa nie zmieniła nawet jego żabotków; śród głośnych zdarzeń swojego wieku stał nieporuszony, z tabakierką w ręku i z tem słowem zapytania w ustach: „A gdzieżto są plecy? nie widzę plecow naszych.“

Wypadki czasu onego, były dla niego jakoby książką dla spokojnego odczytania napisane, podające mu materyę do dyskursu i pole do popisywania się z swoją znajomością polityki przed słuchającem i do potakiwania nawykłem audytorium.

Owoż jednego dnia pamiętnego roku, po obiedzie, na którym po pasztecikach był schab ze śliwkami, a kotlet francuzki okazał się w wieńcu krajowej jarzyny, w pasternaku; pan starosta wstawszy od stołu, obrócił swoje kroki ze sali ku drzwiom, które do ogrodu prowadziły.

Za nim rezydujący na dworze krewni i respektowi, świta pana. Była to godzina spacerowa. Starosta zwolna postępując, z rękoma w tył założonemi, na każdym zakręcie spacerowej ulicy zatrzymywał się i przerwaną rozmowę zawiązywał.

„A tak, powiadam, mówię waciom“ kończył starosta otwierając tabakierkę, na której skrzypnięcie wyciągały się ręce całej idącej za nim rzeszy. „Gdy rozważam i kombinuję dzisiejszy stan polityki gabinetów europejskich, konkluduję, że wojna będzie na stałym lądzie i na morzu, wojna potrwa pięć lub sześć lat, poczem nastąpią preliminarya do zawieszenia broni i traktaty o pokój; ponieważ podług ostatniego listu, który odebrałem od grafa Westemburga, półkownika kawaleryi najjaśn. elektora Saskiego, z którym jak waciom wiadomo„ —dodawał to starosta z podniesioną głową i wyższem zadęciem głosu— „w poufałej jestem korespondencyi, a tak graf Westenburg półkownik najjaś. elektora wielce łaskaw na moj dom i protekcyą swoją i plecami jakich ma wiele, dopomógł, jak waciom wiadomo, synowi mojemu panu Stanisławowi do kupienia sobie kapitaństwa w wojsku najj. elektora Saskiego, jak waciom wiadomo; i właśnie wyglądam listu od mojego syna, pana Stanisława, kapitana leibgardy naj. elektora, bo w ostatnim, podobno czytałem go waciom, pisał do mnie, że się znajdował na święconem u najjaś. mości elektora, gdzie najjaś. pan okazał fawor dla mojego syna, zapytał go czy aura saska służy jego zdrowiu.“ Uroczystym tonem mowy zakończył swoje opowiadanie starosta, a twarz jego nabierała coraz to wybitniejszy wyraz zadowolonej dumy.

W takim stanie znajdował się starosta, kiedy mu podano jakieś pismo zapieczętowane. Starosta rzuciwszy okiem na kopertę, zmarszczył brwi i oddając pierwszemu co bliżej stał, list przysłany, rzekł:

„Idź wać i powiedz kursorowi, niech sobie to weźmie, ta korespondencya nie do mnie.“

„Illustrissime“ zaczął przedstawiać jeden z respektowych—“na kopercie stoi wyraźnie imię i przezwisko *illustrissimi domini.*“—„Czy tak wać mniemasz“ odrzekł starosta—„Niewiadomość niema grzechu; tą razą przebaczam, jednak przypominam waciom, że mnie się należy z prawa i konstytucyi tytuł Jaśnie wielmożny, albo po francuzku *Monseigneur*, o czem przekonam waciow, kiedy im pokażę korespondencye grafa Westenburga, pułkownika najjaś. elektora mości Saskiego.“

To mówiąc starosta odebrał na powrót pismo do niego adresowane i oderwał pieczątkę, ale ledwo czytać je zaczął, twarz jego zaczęła się mienić, bladła, potem rozogniona znowu wydała oburzenie i gniew, jakim został przejęty starosta w ciągu czytania. Pismo było już odczytane, starosta stał jeszcze z oczyma wlepionemi w papier, który drżał w dygocących jego rękach. Starosta do tyla był zdziwiony, oburzony, iż dłuższego czasu było potrzeba, ażeby się upamiętał, i zanim pierwszem odezwał się słowem, już pismo w jego ręku było rozdarte, rzucone na ziemię, nogą przydeptane.

Był to *ordynans* komendy wojskowej, w krótkich i ostrych napisany słowach, nakazujacy staroście złożyć do magazynu pułkowego ofiarę *po garncu owsa* od każdego *dymu* pod egzekucyą wojskową w razie nieposłuszeństwa.

Jak długo żył starosta, nikt jeszcze takim do niego nie przemówił stylem, żadna władza takich nie wydała doń ordynansów, nie czyniła takich żądań, nie straszyła groźbą taką. W wyobrażeniu starosty było to nadużycie, zdzierstwo, gwałt, podeptanie praw konstytucyi, niesłychane bezprawie.

„Patrzcie tedy waciowie“ zaczął mówić do zgrai respektowej“ —patrzcie co się dzieje! *Hanibal ante portam*! Ale na co nam Hanibalów, kiedy właśni, dopuszczają się takiego zuchwalstwa, zaczynają nas gnębić, obdzierać, niszczyć! Po garncu owsa od dymu! Małych rzeczy się im zachciało. Żebyto jeszcze prożbą. Lecz groźbą, egzekucyą, *sacre dieu*! tego nam jeszcze brakowało w tym naszym nieszczęściami przynękanym kraju! Tego jeszcze zbywało, ażeby tam jakaś komenda, której nie znam, nie uznaję, ażeby, ni ztąd, ni z owąd, wyjechała z takiemi, i to do mnie, *ordynansami!* Ho—ho! mości panowie, nie tędy go wiedli, macie tędy ordynans wasz“—tu pokazał na papier roztargany i leżący na ziemi.

*

„Otoż — mówił dalej — „otoż mamy owoce tego okrzyczanego czteroletniego sejmu, podeptane wszystkie prawa boskie i ludzkie, zniewaga, najazd, łupiestwo, rabunek.“ *)

„I jakby nie było dosyć tej zniewagi mnie wyrządzonej takim bezprawnym ordynansem, jeszcze egzekucyą mi grożą. Ha!—ha!—ha! bardzo się boję tej groźby; *nous verrons*, obaczemy; ale ja waciom przysięgam“ — mówił dalej starosta w coraz większym zapale — „klnę się, że tu na tej dłoni“ — i podniósł rękę — „pierwej włos wyrośnie, niżeli dam im dobrą wolą bodaj jedno ziarnko z mojego śpichlerza. *Sacre dieu!* niedam! a mojej zniewagi dochodzić będę, żebym miał majątek stracić, wyjść na żebraka, nie popuszczę, nie daruję!“

Nagadawszy się do woli, zaczął jednak starosta przechodzić na drogę rozsądniejszej reflexyi, a na zrobioną sobie przez jednego z dworzan uwagę, iż to stało się zapewne w skutku jakiej pomyłki, starosta uspokojony nieco, namyślił się inaczej, umitygowany w aprensyi, przywołał do gabinetu manualistę, i jął mu dyktować list do pana jenerała Wodzickiego, o którym słyszał, że komenderował wojskiem w okolicy stojącem.

Jenerał Wodzicki był staroście nie tylko osobiście znanym; owszem zachodziło między nimi jakieś powinowactwo; ztąd brał powód starosta do zrobienia jenerałowi wyrzutów, bo co się tyczy niesprawiedliwości wydanego ordynansu, ta była jawną i do nieba krzyczącą.

Na odezwę — w której po skargach i użaleniach było żądanie odwołania ordynansu — odebrał starosta prosty tylko *recepis*, podpisany przez jednego ze sztabowych oficerów. Starosta wyprawił do jenerała list drugi i spokojnie odpowiedzi na niego i nieomylnego skutku słusznych domagań swoich oczekiwał.

Tydzień upłynął od dnia odebranego ordynansu. Była poobiedna chwila, którą starosta spędzał na zwykłej przechadzce po ogrodzie, i właśnie rozwijać zaczął politykę gabinetu hiszpańskiego, otwierając tabakierkę szylkretową, złotemi gwiazdeczkami nasadzaną, kiedy nagle z podworca uderzył odgłos bębna.

Starosta stanął jak osłupiały, z otwartemi ustami, z ręką wyciągniętą do tabakierki. Dworzanie zadziwieni twarzami obrócili się tam, zkąd dochodził głos tarabanu coraz głośniej, w miarę jak się przybliżał.

*) Tak srogo pokrzywdzony starosta, tak głośno żalący się na ordynans który żądał od niego po garncu owsa od dymu, składał bez szemrania w kilka lat póżniej — po korcu od dymu na rozkaz komendy pruskiej.

Zanim zdążono przynieść odpowiedź na zapytanie starosty, jakie to wojsko poważyło się wkroczyć na podworzec pałacu; już na końcu grabowej ulicy pokazał się oczom jego oficer od infanteryi regimentu Czapskiego, i szybkim postępując krokiem, zbliżał się do starosty, dygocącego od złości, a jednak puszącego się dumą, do której nastroił postawę, minę i twarz.

Atoli kiedy przybyły oficer stanął przed starostą, dumny pan zadziwił się nie pomału, gdy miasto figury wojackiej, hardej i rubasznej, jaką spodziewał się ujrzeć w wojskowej osobie, pojawił się jego oczom oficer młodej twarzy, cienkiej budowy ciała, wzrostu miernego. W niebieskich jego oczach nie dojrzałbyś marsowego wyrazu, głos jego nareście, gdy mówić zaczął, przystałby raczej modnisiowi, asystującemu damie, niż wojskowemu, niż oficerowi, za jakiego sądząc z munduru, poczytać go było potrzeba, i jakim był w istocie.

Jako porucznik infanteryi miał na sobie mundur swojego regimentu. Frak ponsowego koloru odwinięty w niebieskie wyłogi rozchodził się kolisto na obie strony; pod frakiem w złote szlify ozdobnym, miał białą kamizelkę; ta na złote guziki opięta spadała na spodnie białe krótkie, nie dochodzące bowiem do cholewy bóta.

Na głowie miał kapelusik złotym galonem przystrojony, zpod kapelusza z przodu wijące się loki, z tyłu spadający harcap, w pasie srebrną szarfę z błyszczącym kutasem i fręzlami; na pendencie wisiała szpada, w prawej ręce — a była w żółtej łosiowej rękawicy— trzymał trzcinę z złotą gałką. Na niej oparty, z głową wzniesioną, stał przed starostą, do którego po salutacyi wojskowej, odezwał się zapytaniem:

„Czy mam honor mówić z panem starostą?“

„Nim jestem, a waszmość!“ zapytał zagadnięty starosta.

„Jestem porucznikiem regimentu Czapskich.“

„Mości poruczniku, witam waści w moim domu, alić jestem zmuszony zapytać go“ — mówił starosta podnosząc głowę i nadymając brzucha — „pytam się“— powtórzył — „czy traf czy przygoda jaka sprowadza go do mojego domu, ponieważ, jeżeli—co niemyślę—nie mniemam, nie przypuszczam nawet, ażeby ktoś *sacre dieu!* poważył się zsyłać na mój dom wojskowego człowieka, którego ja nie znam, *sacre dieu* w takim razie mój mości, ja waści, ktokolwiek jesteś, pokażę drzwi mojego domu.“

Na te slowa wymówione głosem wybuchającego gniewu, porucznik, do którego obrócone były, odrzekł spokojnie:

„Mości starosto, ten mundur mój, oficerskie znaki, które noszę, zastąpią mnie i przypomną każdemu

światłemu człowiekowi, że wszelka obraza wyrządzona tym znakom, krwią się maże; oficer nosi szpadę ażeby w potrzebie broniła honor oficera.“

Dotknięty tą odpowiedzią starosta, spojrzał na twarz mówiącego, nie zgadzającą się z tonem jego mowy; spojrzał surowo; po chwili złagodniał wyraz jego oblicza, i zażywając tabakę zapytał oficera już w grzeczniejszym tonie o powód jego przybycia.

„Boleję na to“— przemówił tamten —„iż wypełnienie ordynansu niemiłego mnie powierzono, w tem jednak znajduję pociechę, iż pan starosta jako znany ze swojego światła, zechce widzieć we mnie tylko wykonawcę wyższej woli, którą pod utratą życia dopełnić muszę; proszę odebrać ordynans, jestem takowego posłańcem.“

Treść ordynansu była: załoga wojskowa z oficera, dwóch kaprali i 40 szeregowych w domu starosty zostawać będzie przez niego utrzymywana i płacona, dopóki starosta kwitem magazynowym nie poświadczy, złożenie ofiary w ziarnie, nakazanej mu poprzednim rozkazem. Starosta odczytawszy palet exekucyiny otarł spocone czoło chustką, warga jego drżała, dygotał na całem ciele, obecni stali w milczeniu z oczyma wlepionemi w twarz starosty, i w zatrwożeniu oczekiwali tego, co nastąpi. Znając impetyczność zagniewanego pana, obawiali się skutków jego gniewu.

Jeden tylko obecny tej scenie oficer był spokojny. Twarz jego nie zmieniła łagodnego wyrazu, nie okazywała trwogi, malającej się na obliczu obecnych; była chwila milczenia długa, nikt nie miał odwagi podnieść głosu; pierwszy starosta obracając się do młodego oficera przemówił cierpko. „Dla waszmości, panie oficerze, dom mój stoi otworem; waszmość umiałeś mi się podobać, zapraszam go, będę mu rad, ale inaczej się ma z tą bezprawnie nasłaną na moj dom zgrają żoldactwa; tej nie przyimuję; a jeżeli natychmiast nie ustąpi z mojego podworza; *Sacre dieu*, każe ją wyrzucić.“

„Panie starosto“ wpadł w słowo oficer „żołnierz nie ma własnej woli; ażeby zaś w dopełnieniu wyższej woli, nie doznał przeszkody, z czyjejbądź strony ona nastąpi, ma panie starosto bagnet, ma w swoim tornistrze i ostre ładunki.“—„Jakto! nierozumiem“—ozwał się przerażany starosta.“ Waszmość byś się poważył?—

„Oficer Czapskiego utrzyma honor swojego regimentu“ odrzekł zagadniony. „A nawet pewny jestem— mówił dalej—„że pan starosta, sam na mojem miejscu taką dałby odpowiedź, jaką ja dałem, bo innej człowiek honorowy dać nie może.“

Taką mową na nowo ugłaskany starosta pofolgował w swoim wybuchu.„Powtarzam“—mówił dalej widocznie zadowolony—„dla waszmości dom mój otwarty: spodziewam się, że niezbędzie mu tu na niczem; moi domownicy zaprowadzą go do stancyi w której proszę się rozgościć. Co się zaś tyczy tego zbrojnego najazdu, przeciwko temu *protestuję*! Moj *protest* dzisiaj jeszcze będzie posłany do grodu, a jutro oblatowany; swoją zaś drogą będę dochodził mojej krzywdy. Panie Kazimierzu„— mówił obrócony do jednego z respektowych—„jakeś dobry, zaprowadź tego pana do pokoju, wydaj potrzebne dyspozycye, chcę ażeby mój gość miał przyzwoitą wygodę, rozumiesz mnie waść? Zaś dla rozrywki, gdy *suponuję* że waszmość panie poruczniku jesteś człowiekiem wyższego poloru, mój krewny odda mu do rąk klucze od mojej biblioteki, znajdziesz waszmość w mojej bibliotece nie same tylko prawne i gospodarskie książki, owszem posiadam także dzieła sławnego *Woltera*, *Wolneja*, *Helwecyusza* i innych filozofów francuzkich. Co do mnie samego, ja wyjeżdżam z domu i nie wrócę dopóki nie postawię na swojem; àdieu.“

* *
*

Dom w Suchejwoli chociaż pod zasłoną tynku, drewniane miał ściany, a dach gontowy zniżał się tak dalece do ziemi, że go człowiek średniego wzrostu ręką mógł dosięgnąć; wszelako tytułowany bywał szumnym nazwiskiem pałacu. Nad długiem tem domostwem, długo rozłoczony dach podnosił się we dwie równe kondygnacye, a wysokiemi kominami, co stanowiły białą niby koronę budowy, górował ponad inne budynki, wynosił się wspaniale śród niskich chatek nędznie zabudowanej wioski. Ten dwu-piętrowy dach z swoją facyatą w kształcie rozciętego jabłka, w której zamieszczone okienka wyglądały gdyby czarne pestki, był w takim stosunku do domu, iż na pierwsze wejrzenie, zdawać się mogło każdemu, że tu dom dla dachu był postawiony i służył mu tylko za podporę, na której ciężkie opierało się daszysko, ażeby szczytem swoim tem wyżej podnieść się mogło.

Spadającym cieniem od takiego gontowego kapelusza — który mógł być uważany jako arcydzieło architektury ciesielskiej — przyćmiona ściana pałacu rozsuwała się we dwie strony; kilkunastą oknami patrzyła na podworzec, środkową zaś altaną rozdzielona była na dwie połowy; z tych każda do swojego boku tuliła sześciokątną basztę, nakrytą wydętą kopułą. Przed altaną ganku zataczała droga swoje koleje, kołami wyrobione w trawniku, po którym zaścielał się olbrzymi cień od lipy przed pałacem rosnącej, rozpierającej szeroko swoje ogromne konary.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Jeden za wszystkich.

Cieszcie się demokraci! Czasy spełnienia przyszły! Szala się przechyliła! Arystokracya dostała pomieszania. Dostała go w osobie pana Franciszka Wiśniowskiego, autora „Manifestu w sprawie ojczyzny", drukowanego u Piotra Pilera r. 1848 w 8ce str. 79. *Jeden za wszystkich*, stracił p. Fr. W. zmysły na widok bezprawiów demokracyi, na widok rozdarowania pańszczyzny, na widok adresu z 18 marca, i w wiecznotrwały pomnik swojego i całej arystokracyi obłąkania, napisał dnia 15 maja swój Manifest, na który, jako na znak naszego dokonanego już zbawienia, nie możem nie zwrócić uwagi.

Ale obłąkanie jestto jak wiadomo stan umysłu graniczący blisko ze stanem szału poetycznego, wieszczego, a „kto wieszcza chce zrozumieć, niech się w wieszcza kraj przeniesie"— zastrzegł oddawna Gete a za nim nasz Mickiewicz. Dla zrozumienia więc Manifestu przenosimy się cale w krainę jego autora, i jego własnemi słowy treść tego zbawczego pomnika przytoczymy.

Otóż jesteśmy w Kozinie, na Podolu. Dzień 15ty maja, ten sam który w Wiedniu system dwuizbowy, element arystokratyczny obalił, przyświeca nad dworem Koziny. Pan na Kozinie czuje feralność dnia tego, przewiduje nowe ztąd klęski dla kraju, i pogrążony w smutku „faktami, jakie partya demokratyczna, w celu wskrzeszenia dawnego królestwa polskiego kosztem obalenia zasady socyalnej wolności człowieka w roku bieżącym dokonała, i jakiemi ojczyznę jego w przepaści postawiła" —str. 3— postanawia po raz ostatni podnieść oręż myśli przeciw tej hydrze i „odwołać się do sądu boga, Europy i potomności." Siada więc zadumany, i ze wszystkich atomów całego uniwersum, z dziejów ojczystych i dziejów świata, z pisma św. i filozofów pogańskich, ze świadectwa monarchów i republikanów, z pandektów i zbioru patentów gubernialnych, z dziesięciorga bożego przykazania i uniwersal. kodexu cywilnego, niezachwiane pozwiąwszy przekonanie, że odkupieniem rodu ludzkiego jest arystokracya a jego ancychrystem demokratyzm, jedynym zaś warunkiem i celem życia—własność, *respective* powinności inwentarskie — bo innego rodzaju własności w świecie i w manifeście nie masz— zaczyna katechetycznym sposobem:

Co jest wolność? Jestto własność. Bo „wolność i własność są dwa synomina, które jedną i tę samę rzecz czyli ideę wyrażają" str. 4. — Co jest sprawiedliwość? „Nic innego, jak tylko silne zabezpieczenie własności." str. 6. — Co jest rząd? „Dobry rząd jest, który własność najlepiej zabezpiecza; zły, gdzie własność nie ma dostatecznej gwarancyi." str. 8. Co jest reprezentacya narodowa? „Nic więcej jak tylko zgromadzenie stróżów narodu, których obowiązkiem jest czuwać nad tem, aby władza rządowa nie wydała takiej ustawy, któraby zasadę własności czyli wolności, bo to są synomina, obaliła." str. 12.— Co jest ogólne, powszechne dobro? „Niedorzeczne słowo —str. 78.—znaczące jednakże tyle co własność czyli wolność, bo to są dwa synomina" str. 28.— Co jest złe czynić? „Jestto gwałcić 10te przykazanie boskie, t. j. gwałcić prawa własności drugiego." str. 18.— „Co było po wszystkie czasy najpierwszym stróżem socyalnej wolności człowieka, t. j. własności? Element arystokratyczny." str. 43. —Czem zaś jest demokratyzm? „Najsromotniejszym, batem na tęż wolność człowieka." str. 43. Zatem koniec końców: „Zasada własności czyli wolności człowieka jest s u m u m c o n s u m a t u m b o n u m, t. j. ta zasada jest pierwszym i ostatnim celem indywiduow i narodów; ta zasada nie może być poświęcona osiągnieniu żadnego innego celu; nietylko *narodowość polska* ale nawet chińska, nie jest uprawniona do tego, aby kosztem obalenia tej zasady była przywróconą." str. 70. — „Forma rządu monarchicznego, gdzie władza panującego powagą *senatu* była ograniczoną, odpowiada najlepiej celowi zabezpieczenia wolności." str. 11. — Ta powaga senatu, czyli element arystokracyi był i jest zawsze "nieodzownym warunkiem— str. 40. — tak utrzymania socyalnej wolności, to jest własności, jako też jej uzyskania, t. j. ucywilizowania narodów. „Np. w czasie odkrycia Ameryki znaleziono w Peru i Mexyku pewien gatunek rządu i cywilizacyi. Przyczyna tego? Mexykanie i Peruwianie mieli element arystokratyczny, t. j. kacyków. Irokezowie niemieli tego elementu i—zostali w barbarzyństwie. Jezuici ucywilizowali Paraguaj, bo od tego nasamprzód zaczęli, że element arystokratyczny tam wprowadzili. Chceszli Murzynów ucywilizować, zaprowadź tam element arystokratyczny, a w pół wieku ujrzysz tam wojewodów a poźniej Nabuchodonozora, który będzie z tych pustyń piaszczystych wychodził i garnął ludy pod swoje panowanie. A nie należy sądzić, żeby Nabuchodonozor był coś złego, bo mówi bóg przez usta proroka Jeremiasza...." str. 40. i 41.— Owoż adres 18 marca obalił „na zgromadzeniu przed kamienicą pana Kulczyckiego" zasadę arystokracyi i przeto zostanie ten adres„ wieczną niesławą tego zgromadzenia, bo to zgromadzenie zapoznało 10te boskie przykazanie„ str. 61.—bo „jak wyczytuję, miano tam skasować pańszczyznę i inne daniny inwentarskie." —„A jakież dobrodziejstwo przez skasowanie pańszczyzny kmieciowi wyrządzone zostanie? gdyż jeźli kmieć nie będzie robocizny dostarczał, to ja grunt mu odbiorę." str. 60.— „Nadawać kmieciowi własność gruntu, znaczy ciało arystokratyczne demokratyzować, a że taka demokratyzacya gwałci prawo natury,

zasady moralności i przykazania boskie, i jest łupieztwem, to już w pierwszej części dostatecznie wyjaśniono“ str. 45. „Panowie demagogowie, którzy mi powinności inwentarskie wydzierają, dają mi wynagrodzenie za takowe, mówiąc, nie będziesz znosił ciężarów juryzdykcyi patrymonialnej... atoli to prawo juryzdykcyi jest dla mnie tak drogiem, a oni powiadają że to jest wynagrodzenie.“ str. 36. — Jakoż i „dla kmieci jest ta opieka patrymonialna wielkiem dobrodziejstwem“ str. 73. — Zastanie dalej adres 18. m. „wieczną niesławą,“ bo toruje drogę do demokratycznej rzeczypospolitej, a „ ta forma rządu jest powtórnie mówiąc najsromotniejszym biczem na przyrodzoną i socyalną wolność człowieka,“ str. 48 — bo „fakta panów, którzy adres ten podpisali, niszczą wszelkie prawo mojej ojczyzny do politycznego bytu... a Rosya zrobiłaby się odpowiedzialną całej ludzkości, gdyby się skłoniła do koncesyi dla demokratycznej Polski.“ str. 72 — „Umieszczone w tym adresie słowa, że dziedzice galicyjscy chcą swoim kmieciom darowiznę z powinności inwentarskich zrobić, nie mogą panów adresantów usprawiedliwić, bo ja nie chcę tych powinności darować, i są tysiące takich właścicieli, którzy podobnie nie chcą darować, to zaświadczą protokuła urzędników rządowych. „str. 62.—“ Gdyby zaś całe towarzystwo chciało przeciw mojej woli takie prawo do składu praw rządowych wcielić w takim razie mam prawo indywidualnej ze skutkiem połączonej opozycyi przeciw jednogłośnemu postanowieniu całego ludu... mam prawo bronić się przeciw całemu towarzystwu, i bić się z niem. To nic nie znaczy, że tamtych 5 milionów a ja sam jeden. Ja walczę przeciw pięciu milionom, bo ja rozpaczam o moją wolność, t. j. własność. Naturalnie przegrywam batalię i jestem zwyciężonym, lecz ten akt przez 5 milionów na mnie dokonany, nie byłby wykonaniem praw *suwraństwa* — p. Fr. W. jest uczniem szanownego redaktora Gazety Lwowskiej — ludu, lecz byłby wiarołomstwem i łupiestwem.“ str. 15. 16. — Tenże sam wielki obowiązek podobnegoż bronienia, „reklamowania praw naszych“ — kończy p. Fr. W. zwrotem do całej szlachty „macie wszyscy, bo przypuściwszy żeby przemoc zwycięstwo odnieść miała, to w takim wypadku musicie w spuściźnie nieszczęśliwym potomkom waszym przynajmniej tę pociechę zostawić, by kiedyś w siermięgach i chodakach łyczanych przy ognisku zasiadłszy, nie wydali na was wyroku potępienia, lecz przynajmniej to o was powiedzieć mogli: Wszystko stracili lecz honoru nie stracili.„ str. 77. — Poczem jeszcze krótki panegiryk Tamerlanowi: „Wieczna sława tobie, ty barbarzyński cesarzu świata! Miałeś cnotę sprawiedliwości — t. j. zabezpieczania własności — i znałeś obowiązki twego wielkiego powołania,“ str. 79 — któregoto powołania tak sromotnie nie pojmuje dzisiejszy Tamerlan znad Newy i nie spieszy oswobodzić Kozinę zpod jarzma demokratyzmu!

Boć naprożno! Jużto „batalia ponoś przegrana.“ A szanownemu autorowi Manifestu pozostanie w istocie tylko ten honor, że ostatni w wodwodzie, przeszedł do nieśmiertelności *jeden za wszystkich.*

Bajratowiczanka.

O, panie! trzech chłopów, trzech chłopów mi daj!
A będę na ziemi miał szczęście, miał raj!
Trzech chłopów, na nieba! Trzech chłopów mi trzeba!
Trzech chłopów! trzy dymy! trzy dusz!

O, panie! jam kochał, jam wielbił, jam czcił!
Jak robak kochance u nógem się wił!
A moja bogdanka, Bajratowiczanka!
Odrzekła mi smętnie — i cóż?

„O, czemuż nie na wsi osadził cię los!
Bo mnie tylko na wieś wciąż serca zwie głos.
Jam córka szlachecka, I drugą mi z dziecka
Naturą pańszczyzna i dwór!

We dworze wyrosłam śród panien i sług,
We dworze mi jeszcze dziecięciu u nóg
Piastunki poddańskie Śpiewały za pańskie
O dworach, o grafach zza gór!

I całą drużynę mych kuzyn i siόstr
Ten dworski, zamorski oświeca też lustr,
A jażbym o boże! Bez dworu, w pokorze,
Znosiła ich wzgardę i śmiech!

Więc z nikim w małżeński nie wchodzić mi stan
Prócz z *obywatelem*, i choćby nie pan!
Choć nie ma tysięcy, O, gdyby nic więcej
Jak tylko trzech chłopów, jak trzech!“

Więc panie! trzech chłopow choć gołych jak Job;
Choć głodnych i wrzodnych, jak niegdyś nasz chłop!
Niech jęczą mej pani Trzej chłopi poddani,
Trzy jęki, trzy skargi, trzy łzy!

O, niegdyś xiężniczki rycerzów swych w świat
Syłały z miłości po rajski gdzieś kwiat,
Dziś za nic ich snopy, Dziś droższe trzy chłopy,
Choć w pocie i w błocie i w krwi!

Boć rzadki to kwiat dziś, i rzadki to zwierz!
Zejdź świat już nieboże, jak w zdłuż tak i wszerz,
A nigdzie twa stopa Nie znajdzie dziś chłopa,
Prócz w Moskwie i w pańskich gdzieś snach!

I nim Towarzystwo ziemiańskie nam znów
Potrafi znienacka odrodzić ich chów,
Jak wielkość bajratu Ze szczętem ze świata
Zaginie już ród ich — Ach! Ach!

K. Szajnocha

Wiadomości literackie.

Rys historyczny wraz z zbiorem przywilejów *Towarzystwa Strzelców Lwowskich*, wydany przez *Tomasza Kulczyckiego*. We Lwowie 1848. Treść tego dziełka dotyka bliżej dążeń dzisiejszej chwili, niżby to na pierwszy rzut oka zdawać się mogło. Jestto bowiem niepośledni przyczynek do historyi stanu miejskiego w Polsce, a stan ten jest w obecnej reorganizacyi naszego spółeczeńskiego składu nader ważnym i już pod względem narodowości najpomyślniej przysposobionym żywiołem. Toż należy uwzględniać wszystko, co do jego ukrzepienia tak w sobie samym, jakoteż w uznaniu jego ważności przez inne stany przyczynić się rokuje. Jednym z najważniejszych do tego środków jest wyświecenie jego dawnej, niestety za mało znanej historyi. Niniejsze dziełko, aczkolwiek tylko jedyny stanu tego stosunek, w jedynem mieście Lwowie, wyświeca, zakreśliło sobie tem użyteczniejszą w tej mierze pracę, iż ów jedyny stosunek dotycze właśnie głownego wszystkich narodowych stanów zadania, to jest obrony kraju, a to jedyne miasto, zwyczajnie przedmurzem Polski i chrześciaństwa zwane, było z tego względu przeważnem stanowiskiem całego kraju. Ztąd przedstawione w dziełku zasługi mieszczan około obrony swego miasta i kraju, są wymowną częścią ich wszechstronnych zasług w narodzie. A te zasługi były, jak się z naszego dziełka dowiadujemy, daleko większe, niż się powszechnie przypuszcza. Jakoż szła też za tem troskliwa pieczołowitość królów polskich o ów stan miejski, jak to liczne, większą połowę dziełka obejmujące przywileje królewskie poświadczają. Godzi się więc tuszyć, że jak z jednej strony dzisiejsi mieszkańce poznaniem gorliwości swoich przodków o dobro ojczyzny a troskliwości rzeczypospolitej o ich dobro, tem mocniej w swoim obywatelskim sposobie myślenia się utwierdzą, tak też i reszta narodu temsamem do tem słuszniejszego uznania wagi i zacności stanu miejskiego w narodzie przyidzie—a tak całe dziełko jakąkolwiek zasługę około głównej dziś potrzeby narodu, około ściesnienia jego społecznych węzłów położy.

———

Księgarnia J. Milikowskiego nadesłała nam następne ogłoszenie: „Nakładem niżej podpisanego, jak to w nrze 22: „Dziennika mód paryskich“ z dnia 27go maja r. b. ogłoszono, przedrukowuje się z upoważnieniem: Regulamin piechoty, kawaleryi i artyleryi wraz z instrukcyą dla powstańca i służbą obozową; wydany w r. 1846 w Paryżu przez zaszczytnie znanych z wiadomości strategicznych: Ludwika Mierosławskiego, Józefa Wysockiego i jenerała Sznajdego. — Dzieło to, którego pierwszy oddział już wyszedł, obejmuje: 1) Instrukcyę dla powstańca, 32 str.; 2) Przepis musztry i manewrów dla piechoty, 108 str. z 8 tablicami; 3) Przepis musztry i manewrów dla jazdy, 124 str. z 21 tablicami; 4) Artylerya. Krótka instrukcya odnosząca się do usługi i użycia dział polowych, 56 str. z 2 tablicami; i 5) Służba obozowa, 40 str. Chcąc ułatwić jak najtańsze nabycie tego w terazniejszem położeniu ojczyzny wielce potrzebnego dzieła, oświadczam, że dawniejsza cena, wynosząca 5 złr. w m. k. zniżoną jest na 1 złr. i 30 kr. m. k. ale tylko w drodze przedpłaty, po wyjściu zaś dzieła zpod prasy cena znacznie podwyższoną zostanie. Przedpłacającemu 10 egzemplarzy każdy 11 *gratis* danym będzie. — Przedpłatę odbierają wszystkie księgarnie we Lwowie i na prowincyi, niemniej też panowie kapitanowie Gwardyi narodowej wszystkich trzech legii. — Zbytecznem sądzę rozszerzać się nad zaletami tego dzieła, bo o tem już znawcy najkorzystniej swe zdanie wyrzekli.

Jan Milikowski, księgarz.“

———

Stroje.

Damskie. Opiszemy dziś nowy ubiór. Jest-to strój à la venitienne, składający się z szlafroczka z materyi mieniącej; stanik gładki, z paskiem wązkim, złotą sprzączką zapinany; rękawki bardzo krótkie i szerokie, zpod których widać białe koronkowe w bufki. Spodnica i stanik zapinają się na jeden rząd guzików emaliowanych. Do tego ubioru należy pelerynka z małym kołnierzykiem; długość do ręki; w górze na jeden guzik złoty zapięta; rękawy fałszywe, w fałdach zrobione, cała pelerynka fręzlą i krepiną obszyta. Kapotka z białej krepy lub słomki ryżowej, ubrana fiołkami i małemi piórkami.

Mężkie. Ubiór wiejski: Kaftan batystowy, na jeden rząd guzikow zapięty, krajany sposobem twiny; kołnierz prosty. Kamizelka z małemi klapami.

Rycina przedstawia. Suknia jedwabna szamowa, stanik wysoko zachodzący z długim szpicem, na ramionach i w szpicu w fałdy układany; rękawy ubrane pięć razy koronką. Kapelusz różowy kreppowy, trzy razy koronką i piórami ubrany.—Ubiór dla dzieci.

Redaktor odpowiedzialny KAROL SZAJNOCHA. *Wydawca* TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.